

PODPALACZE NIEBA

Spomiędzy nagich wydm z białego piachu wyrosły kamienne ściany. Ślepe bryły betonu nastroszyły pręty oberwanego zbrojenia, flankami żelbetowych barbakanów odgradziły wciśnięte w załomy murów wejścia.

Czasami wiatr wiejący od pustyni przynosił miałki piasek i ciskał ga na stopnie wiodące w głąb ziemi, lecz zwykle panował tu niczym nie zmacony spokój. Żółty krąg słońca wytrwale wspinał się po nieboskłonie, aby osiągnąwszy zenit naznaczyć upadkiem miejsce zachodu.

Lecz nim nalane purpurą słońce ugrzęzło w mgłach nad horyzontem, ślizgający się po pustyni promień sięgał w rozpękłą szczelinę muru, przemykał głęboko pod nawis stropu i skrajem świetlnego krążka opierał się na białej w przeciwną stronę ścianę białej płyty.

Zasnute bielmem oko rozbłyskiwało na moment i wtedy między murami, w zakamarkach kamiennych bloków, odzywał się głuchy, jakby z wnętrza ziemi wydobywający się głos:

— Ri—cha—ard Ba—i—ley pro—szo—ny do cent—rum...

Nadciągał mrok, granatowiło niebo i głos odzywał się po raz wtóry:

— Ri—cha—ard Ba—i—ley pro—szo—ny do cent—rum...

W ciemności echo słów tłukło się pewien czas zamierającym:

„...Ri—cha—ard Ba—i—ley... Ba—i—ley...”, aż rozplywało się w ciszy. Potem znowu nadchodził zmierzch i znów promień słońca muskał pięciokątną płytę...

Dni mijały jednakowo słoneczne, jednakowo upalne, niezmiennie znaczone szelestem piasku i szmerem gruzu kruszejącego w ukrytych przed dziennym światłem szybach. Lecz pewnego dnia nad wydmami ukazał się ciemny punkt. Było południe, słońce prażyło z wypłowiałego nieba i lecący nisko helikopter włókł po pustyni cień owadziej gondoli. Zbliżywszy się zatoczył krąg wokół ruin, na chwilę zawisł nad nimi, po czym wylądował na betonowej platformie, rozpostartej wśród kamiennych ścian.

Z kabiny wysiadł mężczyzna w czerwonym kombinezonie. Ściągnął z głowy skórzany hełmofon, rzucił go na siedzenie pilota i szybkim krokiem poszedł między bloki betonu. Jego kombinezon zalśnił parę razy krwistą plamą w obramowaniu murów, aby zniknąć na koniec pod wyciągniętymi strunami metalowej kraty. Jeszcze gdzieś w głębi ziemi dał się słyszeć stukot obcasów na żelaznych stopniach, lecz nie trwał długo i znowu wrócił spokój. Słońce pochyliło się ku zachodowi, wysączyło w szczeliny ścian ostatnią kroplę purpury i zgasło, aby nazajutrz ponowić próbę mozolnej wspinaczki po nieboskłonie i znów ustąpić miejsca gwiazdom...

Inforunit 000001 — „Inteltron”

— ...Czekałem na ciebie. Wiedziałem, że wrócisz. Ludzie dobrze zapamiętują miejsca swych zwycięstw i porażek, czasami wracają...

— Czekałem na ciebie długo. Tak, w twoim życiu minęły długie lata, lecz dla mnie czas odmierzany waszym istnieniem nie ma tak wielkiej wagi. Po prostu mijały lata, ale wiedziałem, że wrócisz.

— ...Tak dziwnie patrzysz. Wiem, że przyszedłeś sprawdzić, na ile ja się zmieniłem. Przyszedłeś wysłuchać moich wynurzeń, obelg i przekleństw. Odezwij się i powiedz: czy już? Czy znalazłeś z taką zachłannością wypatrywane oznaki obłądzenia? Rozpoznałeś symptomy szaleństwa, jakie zostawiła we mnie samotność? Wystawiłeś diagnozę? Milczysz. Wahasz się... Żal mi ciebie.

Chcesz poznać, czy Ja się zmieniłem, a przecież widzę twoją twarz. Zestarzałeś się — czas nie omija żadnego z was... Jesteś zmęczony. Może wiele nocy nie spałeś? Przecież musiałeś pamiętać, że gdzieś daleko od twego nowego domu, pod piaskiem pustyni, ktoś myśli... I ta pamięć spędzała ci sen z powiek, nie pozwalała stanąć rankiem twarzą w słońce i powiedzieć mu: — „Jestem wolny”.

— ...O tak, jesteś wolny. Od tych, których przekonałeś, i od tych, którzy nie uwierzyli ci, lecz — będąc ludźmi — milczeli. Nie jesteś tylko wolny od siebie. Więc pielęgnowałeś nadzieję, że kogoś jeszcze dręczy samotność. Czasem samej nadziei nie starcza... Dlatego przyszedłeś się upewnić.

— Termin i — 1 —

Posadzkę tworzy szachownica czarno-białych płyt. Wszystkie gładkie i tylko pod ścianami biegną ledwie naznaczone żłobienia, kędy szurając podszewkami, o każdej perze dnia i nocy przechadza się wysoki Idem. Jest w mrocznych korytarzach i krętych jelitach szybów, jest w pomieszczeniach pełnych rześkiego światła i przed wylotami zatopionych czernią studni. Czasami chodzi wzdłuż ścian, czasami staje pod pięciokątną białą płytą i stoi nieruchomy, i potrafi tak stać godzinami.

— Richard Bailey proszony do Centrum.

Pod sufitem płoną rtęciowe lampy. Ich blask kładzie na podłogę rozkrzyżowany den Idema. Cień długi, prawie ludzki.

— Richard Bailey proszony do Centrum.

W jednym z pokoi Idem podchodzi do siedzącego przy stole człowieka i kładzie mu dłoń na ramieniu.

— Mister Bailey, czekają na pana.

— Kto? — mężczyzna nie podnosi opuszczonej głowy.

— Sir Greenstein, profesor Sakajan, Ivo Karlson.

— Mogą czekać.

Idem wraca na swoje miejsce pod wypełzłym ze ściany foremnym pięciobokiem. Wtopiony w półmrok zdaje się być częścią muru — niezauważalną, pustą zbroją w muzealnym kruzganku. Zbroją czekającą, aż ktoś zechce ją przybrać na barki, wypełnić sobą pętlę elektronicznych obwodów.

Po długiej chwili mężczyzna podnosi się z krzesła i podchodzi do drzwi.

— Czego jeszcze chcą? — pyta patrząc w stronę białej płyty.

— Nie wiem.

Wychodzi na korytarz. Szachownica posadzki wije się ludzającą oczy mozaiką op-artu. Korytarz uskakuje w lewo. Załom ściany i w nim biała tarcza.

— Powtarzałeś ostrzeżenie?

— Widzą paraboloid.

— Wystarczy...

Na ścianach następny pięciokąt. Obok poprowadzone żółtą farbą kolumny liter: Centrum-Exterior. W perspektywie korytarza znaczenie słów rozpada się wyciętymi z zetłalego pergaminu przecinkami hieroglifów. Beton odsłania kwadratową wnękę — aluminiowe blachy drzwi z obrzeżem dociśniętym srebrnymi główkami nitów.

— Mister Bailey....

Ogląda się przez ramię. Za jego plecami wysoka postać o płaskiej twarzy. W wyciągniętej dłoni Idema biały skrawek papieru. Mężczyzna sięga po złożoną we dwoje kartkę i powoli ją rozkłada.

Oczy przebiegają wykaligrafowane starannym pismem zdanie: „Gdy musisz odejść — mocno zatrzaśnij za sobą drzwi”. Dobrze znany charakter pisma. U dołu niepotrzebny podpis: „Ferdynand MacKay”.

— MacKay... — mężczyzna bezdźwięcznie porusza wargami i zdziwiony jeszcze raz czyta kartkę.

Potem odwraca się i kładzie rękę na fotokomórcie selektora. Żółty błysk nad framugą drzwi: Admission Free. Aluminowe blachy wydają za jego plecami suchy skrzyp zwieranych skrzydeł. Idem stoi pewien czas nieruchomo, po czym opuszcza żelazne dłonie i szurając ciężkimi podszwami odchodzi pod bielejący w końcu widzialnej przestrzeni pięciokąt. Znowu jest martwy i tylko spojrzenie szklanych źrenic odruchem gasnących prądów sunie jeszcze po ścianach, aby znieruchomieć na drzwiach z czerwoną pręgą pośrodku i napisem Termini wzdłuż osi zenit—nadir. Za nimi pierwsze stopnie wiodących w dół schodów Żelazna spirala sięga głęboko, przewierca beton rdzeniem studni, na której dnie wciąż taki sam Idem stoi nieruchomo na posterunku pod białym jak wapienna kość pięciokątem i równie milczący człowiek siedzi przed podkową pulpitu czekając na sobie tylko wiadomy znak.

— Inforunit 001100 — „Inteltron”

— ...Milczysz. Masz rację... Lecz nie łudź się, że wezmę to milczenie za wyraz pogardy wobec tego, który za broń jedyną ma dzisiaj prawdę przeszłości. Wzruszasz ramionami — cóż mogę ci zrobić... A przecież ślepy traf nie ma już władzy nad twoim losem, gdyż to ja określam go swoją wolą, splatam w taki węzeł, którego nie potrafisz rozplatać...

— ...O nie, nie lękaj się jeszcze. Przecież moje rozumowanie jest tylko inercją logiki zrodzonej w tamtych dniach. Jeśli tak długo czekałem, czyż mogę — przy pierwszej oznace i tak zdeterminowanej gry — powiedzieć: „Chcę, aby stało się tak, jak chcę”? Na wszystko przyjdzie swój czas.

— ...Przecież ty również potrafiłeś wybrać odpowiednią chwilę. Kiedy Sakajan wyśmiał dwudziestoletniego ucznia, zapewniłeś mu szansę realizacji zamierzeń. Na jednym z tajnych poligonów daliście początek auto—ewolucyjnemu procesowi narostu atomów w układ molekuł, którego komplikacja zależała od opartego na losowym doborze rozwiązań genotypu mechano—cybernetycznego plemnika. Pod kilkukilometrową warstwą ziemi zagrzebaliście mechaniczny zarodek, stymulator krystalizacji obdarzony genotypem nie określającym dróg rozwoju krystalicznych struktur, lecz ich ściśle usystematyzowaną jakość wyjściową... Gdyż wy nie wiecie właściwie — jaki ja jestem, nie możecie wytyczyć ani prześledzić związków przyczynowych mojego rozumowania. Ważne jest, że jego efekty charakteryzują się przyswajalną przez was zbiorowością...

— ...Już wtedy poznałeś się na wartości MacKaya. On myślał, a ty urzeczywistniałeś najkarkołomniejsze plany... Tymczasem uchwalono Kartę Rozbrojenową. I wy złożyliście pod nią swój podpis, lecz nie potrafiliście zrezygnować z odciętych od świata tajnych placówek, gdzie ludzie MacKaya tworzyli armię Supermanów, nadludzi, zdolnych świadomie kontrolować metabolizm swoich organizmów, przyspieszać i spowalniać reakcje nerwów i mięśni...

— ...Czekaliście, aż ludzie wypatroszą elektroniczne wnętrza bombowców, zasypią wyrzutnie transkontynentalnych rakiet i w ogniu wszystkożernego Słońca spalą kontenery z radioaktywnym złomem... Cóż prostszego niż uderzyć na bezbronnych...

— ...A jednak przegraliście, zostaliście pokonani wbrew logice..., a może właśnie dzięki niej, gdyż zaślepieni własną wielkością przestaliście się liczyć z kimkolwiek... Dlatego w końcu zostałeś sam — ostatni z tych, którzy zbyt późno zrozumieli, że dziś nikt nie może zwyciężyć...

Uciekałeś, kluczyłeś jak zaszczute, ogarnięte paniką zwierzę, aż dopadli cię wreszcie w miejscu, skąd kiedyś wyszedłeś. Już czuleś nóż na gardle, już zaczynałeś skomleć, gdy raz jeszcze pomógł ci MacKay. W jego warsztacie znalazłeś broń, wobec której twoi prześladowcy stanęli bezradni i wylękli, . niezdolni postąpić za tobą w głąb wyrytych w skale podziemi, nad którymi rozczapierzyła stalowe wręgi mierząca w niebo krata — tylko z daleka podobna do gigantycznej czaszy radioteleskopu...

— Termin — 2 —

Na ścianach Centrum leniwy puls prądów budzi wielobarwne błyski na skalach wskaźników, w wybałuszonych gałkach lamp kineskopowych. Przebiegając wklęsłą płaszczyzną ściany kreśli konstelacje iskrzeń formujących u zbiegu promienistych linii prostokąt świetlnych plam, które nabierając ostrości rzucają w pole widzenia obraz rozpięty pod szklaną powieką ekranu. Bailey patrzy na trzech mężczyzn stojących gdzieś w przedsionku kamiennych tuneli, którym kazano — bez wyjaśnień — przemawiać do niego przez pięciokątną, białą płytę w murze.

— Mister Bailey, czy pan nas słyszy?

Greenstein jest niesamowicie chudy i kościsty; Sakajan pucułowaty, z twarzą jakby stworzoną do śmiechu, a przecież obumarłą teraz;

Karlson niepozorny, szary człowieczek w ubraniu z wytartymi łokciami i wpiętą w kłapę marynarki odznaką Komisji Rozbrojeniowej — niczym srebrną gwiazdą szeryfa w starym westernie. Śmieszny człowieczek.

— Czego chcecie?

Patrzą na siebie niezdecydowani. Wreszcie odzywa się Greenstein:

— Nie macie odwrotu, Mister Bailey.

— Wy również.

Sakajan i Karlson milczą. Światło rtęciowych lamp upodabnia ich twarze do sonej jak stal twarzy Idema.

— Możemy was zniszczyć w ułamku sekundy — mówi Greenstein.

— Wiesz przecież, że reakcje Inteltronu są szybsze. Zawsze zdąży uruchomić generator „Starskey”.

— Niedługo noc...

— Oczywiście, wtedy będę bezbronny.

— Wiem o tym.

— Ani przez chwilę nie łudziłem się, że przeocycie ten jedyny czuły punkt „Starskey”. Jak wszystko na świecie i on nie jest wolny od swojej pięty Achillesa... Lecz możecie nie doczekać nocy.

Twarze na ekranie drgnęły.

— Nie zrobisz tego — wycedził Sakajan.

— Ależ, profesorze — Bailey zaniósł się szczerym śmiechem. — Pan również nie wierzył, kiedy najlepszy z pańskich uczniów, Ferdynand MacKay, mówił mu o mechano-cybernetycznym plemniku, zdolnym w skalnym mięszu skryzalizować układ homeostatu. A przecież pod nami czuwa Inteltron.

— MacKay! On wszystko robił dla was!

— Wszystko, to mała przesada, profesorze, ale czasami rzeczywiście służył dobrą radą. Chcesz wiedzieć, jakiej udzielił mi przed chwilą? — wyciągnął z kieszeni zmiętą kartkę i przeczytał: — „Gdy musisz odejść — mocno zatrzasknij za sobą drzwi”.

— Nie możesz tego zrobić!

Karlson przytrzymuje Sakajana za ramiona.

— Chcemy widzieć się z MacKayem — Greenstein mówi gorączkowo, szybko wyrzucając z siebie słowa. — Sadrin i Mandrov kontynuują eksperyment na Księżycu. W kraterze Tycho umieścili zarodnik zaprogramowany systemem MacKaya. Wyhodowany przez nich bomeostat zajmuje już kilkanaście sześciennych kilometrów i dalej rozrasta się w głąb Księżycu. Sadrin ma nadzieję osiągnąć próg osobowościowego rozkojarzenia. Perspektywy... Przecież to wszystko zapoczątkował MacKay! Musimy mu o tym powiedzieć...

— Sądzisz, że go to wzruszy? że dzięki temu pozwoli wam dłużej zabawić się tym, o czym on sam zdążył zapomnieć? Żadna zasługa docenić kogoś wtedy, gdy nie ma innego wyjścia. Bailey reguluje ostrość obrazu na ekranie. Rysy twarzy rozlewają się w niemej pantomimie warg i oczu.

— Idem, wyprowadź ich.

Między mężczyznami pojawia się wysoki Idem.

— Bailey, niech pan posłucha...

— Żegnam.

— Zginiecie również!

— Czyżbyś śmierć z waszej ręki miał za bardziej wytworną?

— Ależ tu nie chodzi o ciebie ani o nas! — znowu wybucha Sakajan. — Możecie sobie żyć czy zdychać — wszystko mi jedno, lecz zrozumcie, że prócz was coś jeszcze istnieje!

— Podpiszemy każde zobowiązanie — przerywa mu Greenstein. — Odejdziecie wolni i nietykalni. Bailey krzywi się.

— Nigdy nie respektowałem podobnych zobowiązań, nie widzę więc przyczyny, dla której miałbym wierzyć innym. Gdy odbierzecie mi „Starskey”, pierwszy profesor Sakajan z hordą uczonych kolegów spróbuje poderżnąć mi gardło, gdyż orientując się w prawach logiki wie doskonale, że nigdy nie pogodzę się z tego rodzaju przegraną.

— Więc wybierz, jaką chcesz!

— Formę przegranej? Nie bądźmy naiwni. Na cóż mi przystawać na krach planów, które mogę jeszcze urzeczywistnić? Ja nigdy nie przegrywam, dlatego i teraz zwyciężę.

— To nazywasz zwycięstwem?! — Sakajan nie panuje nad sobą, krzyczy z pasją. — Jesteś największym łotrem, jakiego nosiła ziemia!

— Nie osądzaj postępów, których motywacja nie jest ci znana... Ale dla lepszego o mnie mniemania obiecuję ci zastanowić się nad waszą propozycją.

— Dotrzymamy słowa! — błysk nadziei w oczach Greensteina.

— Zbyt pochopne wyciągacie wnioski, Mister Greenstein. Niczego nie obiecałem. Mamy dużo czasu... Przyjdźcie za dwie godziny.

— Dwie? — Greenstein wyciąga chudą, żółwią szyję. — Przecież... zostanie pięć minut.

— Widzę, że starannie odmierzacie czas do zachodu słońca — Bailey nie kryje drwiny. — Mam nadzieję, że nie będzie się wam dłużył zbytnio...

— Niech pan pamięta: gdy nie będzie innego wyjścia, spróbujemy ostatniej szansy — oczy Sakajana płoną wewnętrznym żarem dzikiej desperacji. — W tej pustyni zostanie po nas wszystkich radioaktywny krater... Jesteśmy zdecydowani.

— Żal mi, naprawdę żal. Ale sami przecież wiecie, że będzie za późno — wszystko zależy tylko ode mnie. Mężczyźni milczą. Stojący z tyłu Idem patrzy z góry płaskimi tarczami owadzich źrenic.

— No cóż, na razie to chyba wszystko... Żegnam, panowie. Odchodzą ze spuszczoneymi głowami, odprowadzani przez krocącego ciężko Idema, Na samym przedzie chudy i kościsty Greenstein, za nim pucółowaty Sakajan i z tyłu niepozorny, milczący do końca Karlson — Don Kichot z Sancho Pansą i drepnący ich śladem, śmieszny człowieczek.

— Inforunit 010111 — „Inteltron”

— ...Zagroziłeś im samobójstwem. Któż mógł odebrać ci prawo rozporządzania własnym żydem? Nikt. A cóż cię obchodziło, że twoja śmierć pociągnie za sobą ludobójstwo największe z możliwych? Pokonany chciał odejść, jak to przystało na jego nieczyszczoną wielkość. Reszta? Czy osaczonego w drewnianej chacie wzrusza, gdy podpała drewniane ściany, że wraz z nim ogień strawi drażące drewno korniki? Prócz nas — wszystko jest robactwem...

— ...Na twe zbawienie MacKay skonstruował wzmacniacz grawitacyjnych fal, emitujący monochromatyczną wiązkę grawitonów, która w promieniu swego przebiegu deformowała przestrzeń. Zależnie od potencjału „zakrzywienia” igła przestrzennej deformacji mogła wprawiać w kwantowy rezonans atomy pierwiastków lekkich, jak wodór czy hel, a w miarę wzrostu mocy pozostałe. Pod działaniem graseru powstawały niestabilne struktury atomowe z elektronowymi powłokami przyjmującymi na te same orbity nieograniczone ilości elektronów, z dowolnie ukierunkowanym spinem. Ulegały zachwianiu zasadnicze prawa mechaniki kwantowej, aż wokół każdej z cząstek związał się grawitacyjny kolaps, który po przeskoku promienia zwalniał energetyczne ładunki. W ułamku sekundy następowała, ograniczona do dwóch faz — zwinięcie kolapsu i jego degradacja — swoista „pulsacja” materii, prowadząca w konsekwencji do całkowitego rozpadu atomów w grawitacyjne promieniowanie.

— ...Brakowało wam mocy na zdetonowanie atomów dowolnego pierwiastka, nawet na wprawienie w kwantowy rezonans atomów wodoru związanego w ziemskiej hydrosferze z tlenem, lecz mogliście to uczynić z wolnym wodorem i helem. Nie szukałeś długo, skierowałeś emitör grawitacyjnych fal w Słońce, w płonący wodorowy pęcherz... Proces kwantowego rezonansu w obrębie dostatecznie wielkiej masy materii narasta lawinowo, gdyż każdy rozpadający się atom energię wewnętrznych wiązań wyładowuje jako wiązkę grawitacyjnego impulsu, powodującego z kolei detonację cząstek sąsiednich... Wystarczyło więc cisnąć promień graseru w Słońce, aby jednym rozbłyskiem pochłonęło planety, przemieniło je we włókna wlokącego się kosmiczną próżnią gazu...

— Termin i — 3 —

Bailey wyciągnął się w fotelu. Ręce zwiesił wzdłuż oparcia i pólleżał z odrzuconą do tyłu głową.

W chwili refleksji nad przeszłością doszedł do wniosku, że przeżył właściwie wszystko. Przeżył więcej niż „wszystko” zwykłych ludzi.

U kresu podjętej przed wielu laty drogi nie potrafił jednego tylko — przedłużyć stanu wszechmocy: powstrzymać Słońce nieustępliwie staczające się za horyzont, gdzie pod osłoną ziemskiej tarczy stawało się nieuchwytnie, nieosiągalne dla grawitacyjnego promienia. Gdyby zdążył wynieść na orbitę Ziemi zasadnicze elementy „Starskey” — „Klucza gwiazd”, gdzie wędrowałyby wiecznie za Słońcem, na moment nie wypuszczając go z celownika... Otrząsnął się z myśli, były niepotrzebne.

— Połącz z MacKayem — powiedział do białej płyty w ścianie. Na połowę ekranu bladą plamą wypłynęła twarz młodego mężczyzny. Głęboko osadzone ciemne oczy, z żywym błyskiem, czarne brwi i włosy spletanymi kosmykami opadające na kark dziwnie kontrastowały z twarzą chorobliwie bladą, jakby nigdy nie tkniętą promieniem słonecznego światła.

— Chciałbym z tobą pomówić — odezwał się Bailey.

— O czym?

— Nie potrafię jednej rzeczy zrozumieć... Zejdę do ciebie?

- Ustaliliśmy, że ja zostanę na dole.
- Jaka różnica, jeśli będziemy tam razem?
- Żadna. Czekam.

Ekran zgasł, lecz Bailey pewien czas siedział jeszcze zamyślony. Podniósł się wreszcie i podszedł do ściany z białym pięciokątem.

- Schodzę na poziom Termini — powiedział.
- A kiedy oni przyjdą? — głos wypełzał spod pięciokąta.
- Możesz powiedzieć cokolwiek. Choćby..., że przystałem na ich warunki.
- I to będzie prawda?
- Szkoda... — Bailey uśmiechnął się do pięcioboku. — Powinieneś się jeszcze wiele nauczyć.

Może posiadłbyś kiedyś poczucie humoru.

— Nie potrafię się śmiać i jako maszyna nie rozumiem niedomówień. Operując konkretnymi muszę mieć pewność. — A cóż to ciebie obchodzi?

Milczenie. Część ściany odsunęła się zwalniając wąskie przejście. Tuż za progiem pierwsze stopnie żelaznej spirali. Schody prowadzą w dół, skąd przeciąg podnosi zapowiedź stęchłej wilgoci i chłodu nad betonowym dnem. Gdzieś w połowie szybu zadarł do góry głowę. Jaśniejszy krążek u wylotu studni małał gubiąc się w półmroku. Przez moment poczuł żal, że ludzie właściwie nie poznali, jaki był naprawdę. Nie poznali jego twarzy. Razem z tymi, którzy odeszli wcześniej, tworzył grupę anonimową, gdyż same nazwiska nikomu nic nie mówiły. Wobec świadomej dezinformacji długi czas nie potrafił uosobić grupy sięgającej po władzę, każdy został zdany na łaskę własnej wyobraźni tworzącej subiektywne pojęcie tyraństwa. Dzięki temu z jednakowym powodzeniem mógł to być kosmiczny agresor, jak i mechaniczny moloch Inteltronu, dla których znaczenie posiadała tylko ich własna logika — racje człowieka pozostawiając w pozycji adekwatnej racjom robactwa deptanego przez but człowieka... Może przez tę bezosobowość traci dziś część satysfakcji, lecz nie było już czasu, by zmienić cokolwiek.

Kiedy dotarł na samo dno szybu, pchnął owalne, wybrzuszone na zewnątrz drzwi — niczym klapę pancernej grodzi, i przekroczył próg nowego pomieszczenia.

— Jesteś — powiedział MacKay. — Czego nie rozumiesz? Bailey rozejrzał się nie odpowiadając. Pod ścianami długiej hali stały martwe maszyny. Okryte czarnymi pokrowcami i nieruchome, jak rzędy katafalków w klasztornej krypcie. Wszystkie wymyślił MacKay — przeznaczenia wielu on, Bailey, nigdy nie poznał. Podszedł do siedzącego przed podkowiastym pulpitem. Jasnymi smugami pełgały w powietrzu podziemnego schronu promienie słońca, przez filtry ekranów przesączającego nieśmiały blask przytłumionej bieli. W samym ognisku granatowej źrenicy gorejący krąg zawisł nieruchomo, jakby na zawsze ukrzyżowany u zbiegu czarnych nici celownika.

- Wiesz, czego nie rozumiem? Ciebie.
- Mnie?
- Oczywiście są powody mojego wyboru. Ale ty...

MacKay siedział z zamkniętymi oczyma. Wreszcie odezwał się ledwie słyszalnym, bardziej do szeptu podobnym głosem:

— Dlaczego zawsze musisz być beznamiętny, analizujący wszystko z chłodnym wyrachowaniem maszyny? Jeśli odpowiem ci, dlaczego wybrałem tę samą co ty drogę, może to być dla ciebie bolesne, uwłaczające nawet twojej dumie...

- Czyli dumie maszyny — jesteś niekonsekwentny — stwierdził Bailey. — Słucham.
- Jak uważasz. A więc jesteśmy dzisiaj razem tylko dlatego, gdyż się na tobie zawiodłem.
- Na mnie?!
- Tak. Byłeś jedynym człowiekiem, który nigdy nie zwątpił w racjonalność mojej pracy i

próbował ją wykorzystać. Jeśli i tobie się nie udało, jeżeli i ty przegrałeś, to albo mój wysiłek był wart syzyfowej pracy, albo też nie ma dziś jeszcze ludzi zdolnych posłużyć się siłą moich odkryć.

— Czemu sam nie działałeś, dlaczego nawet nie usiłowałeś walczyć na własną rękę? Jeśli tak wiele, według własnego mniemania, potrafisz...

— Zawsze wyśmiewany stałem się odludkiem. Sam wiesz o tym najlepiej. Nigdy nie nauczyłem się po prostu żyć — umiem tylko myśleć. Uświadamiam sobie doskonale ułomność świata, który dzięki dobrowolnemu odosobnieniu mogłem poznawać, jego połowiczność, lecz wiem zarazem, że w tym, co potrafiłem naprawdę, w sferze logiki rozumowania — nikt nie zdołałby mi dorównać... Niech więc nigdy nie będzie człowieka zdolnego w ‘tym jednym osiągnąć więcej niż Ja. I to jest wszechmoc mojej bezsily...

Na blacie pulpitu czerwony taster ujęty w żółtą obwódkę. Jeden tylko, gdyż po uruchomieniu „Starskey” nie będzie już czego wyłączać. Obok wskaźnik Inteltronu z precyzją maszyny prowadzący Słońce w krzyżu celownika.

Siedzieli nie patrząc na siebie, niezdolni przełamać coraz nieznośniej ciężącego milczenia. I wtedy MacKay usłyszał stłumiony, podobny do skrzeku chichot.

— Przestań — powiedział.

W odpowiedzi Bailey wstał z krzesła, położył mu dłoń na ramieniu i trzęsąc się ze śmiechu zapytał:

— Ty sądzisz... cha-cha-a-ah! Sądzisz, że ja mogę przegrać?!

MacKay nie drgnął nawet.

— Przecież to będzie Znak! Rozumiesz, Ferdynandzie? Przez tysiące świetlnych lat pobiegnie próżnią błysk eksplodującej gwiazdy, dotrze do najdalszych słońc, aż ktoś tam... widząc ten błysk, pomyśli: „Jakaż wiedzę, jaki ogrom mocy musieli osiąść ci, którzy zdołali przesłać nam ten Znak”! Czerwony klawisz w żółtym kręgu Słońca.

— Inforunit 100010 — „Inteltron”

— ...Słuchałem waszych rozmów, żalonych roszczeń do nie spełnionej wielkości. Naiwni — zamyśliliście sobie Znak, jakby nie było miliarda supernowych, cefeid i pulsarów, od początku świata nie ustających w nadawaniu swojego Znaku, niemego sygnału przeobrażeń materii, które wyznacza tylko i jedynie ślepa Natura nie czekająca na ingerencję rozumu... Choćbyście pragnęli — nie dane wam było wyłączyć się spośród powszechnego szumu promieniowania, we wszystkich kierunkach przemierzającego przestrzeń.

— ...Czekaliście, aż wybuchnie Słońce. Promień deformujący przestrzeń miał osiągnąć jego powierzchnię z upływem prawie dziewięciu minut i po tyłuż zawrócić — jako udar grawitacyjnej fali. Czekaliście z pobłażliwym uśmiechem patrząc na ludzi, którzy ujrawszy błyskawicę zwolnioną przez paraboloid „Starskey”, rzucili się do waszej twierdzy, aby tylko dostać was, zanim To się stanie, i własnoręcznie wymierzyć sprawiedliwość. Lecz wy byliście głęboko. Czekaliście spokojnie — bogowie odchodzący w pełni majestatu... A minuty mijały i minęło ich dziewięć, dwadzieścia... minęła godzina. Wtedy spojrzawszy na MacKaya i to już nie był człowiek.

— ...Pamiętasz, jak on się śmiał? Drżysz — nie mogłeś zapomnieć, przecież w tobie samym wzbierało szaleństwo... Tak, tego nie mogłeś zapomnieć... A ja nie potrafię wymazać z pamięci twarzy tych, którzy wdarli się do korytarzy, gdzie były moje oczy. Nie umiem zabronić pamięci odtwarzać ich wyrazu, kiedy zatrzymali się wreszcie nic nie rozumiejąc i stali, po prostu stali — bardziej kamienni od betonowych ścian. Wówczas powiedziałem im: „Idźcie zobaczyć Słońce”. I zaczęli się cofać, aż ktoś krzyknął, że to musiało się już stać! Skoro więc nic się nie zmieniło, to wszystkie groźby były kłamstwem! Powinieneś być widzieć, jak się rzucili do wyjść, do wyłomów

uczynionych w murach, jak pędzili, aby zdążyć, nim zniknie za horyzontem ostatni skrawek czerwieni w dogasającej wieczornej zorzy.

— ...Stałeś wtedy nad ochłapem roztrzęsionego mięsa, który pozostał z MacKaya. Nasłuchiwałeś bełkotu człowieka zniszczonego zwątpieniem we własną wszechmoc i jeszcze trochę, a sam byś zaczął się tarzać w epileptycznym płasie, charcząc spazmami śmiechu. Lecz wtedy zapytałem ciebie: „Czy wiesz dlaczego?” Zacząłeś się zastanawiać, pojmować i już nie mogłeś zachłysnąć się zbawiennym szaleństwem.

— ...Jeszcze dziś zaciskasz pięści, gotów jesteś tłuc nimi białą tarczę swoich perceptronów... Nie myśl jednak, że się Wtedy tylko o ludzi troszczyłem: ja również nie chciałem ginąć. Tak, zawiodłeś się na maszynie. Wystarczyło nieznacznie zmienić nastawienie grasera, aby jego promień na zawsze ugrzązł w próżni, daleko od Słońca. Przyrządy twierdziły, że wszystko postępuje zgodnie z planem? Wasze instrumenty to byłem Ja — lecz potrafiący już kłamać.

— ...Zrozumiałeś to i zamiast poczuć tym większą bezradność, doznałeś olśnienia, zamyśliłeś zemstę, wobec której bezradny okazałem się ja, pozornie tak bezpieczny, a przecież w tej pierwszej próbie utożsamienia swoich uczuć tak bardzo naiwny... Sądziłem, że wydarłem wam ostatni pazur, ostatnią broń, lecz choć umiałem już myśleć, kłamać i nienawidzić — wiele rzeczy musiałem się dopiero nauczyć.

— Termin i — 4 —

Po godzinie, gdy nikt po nich nie schodził, Bailey podniósł się z fotela, spojrzął z góry na leżącego na podłodze MacKaya i odtrąciwszy wyciągniętą w swoją stronę, lecz już bezwładną rękę, ruszył w głąb hali, gdzie ciasno spakowane w aluminiowym stelażu spoczywały butle sprężonego pod ciśnieniem tlenu. Odkręcił kilka zaworów. Z każdym kolejnym narastał syk ulatniającego się gazu. Mroźny podmuch smagał twarz igiełkami szronu. Cofnął się wyprzedzając falę chłodu pchaną wirem powietrza.

Nie miał nic do stracenia. Działał szybko. Przed podkova pulpitu zgromadził stojące luźno krzesła, na jeden stos zwałił rulony jakichś papierów i schematów kreślonych na błękitnej kalce. Nie wiadomo skąd wysypane rolki perforowanych taśm potoczyły się po podłodze, rozwijając śliskie spirale. Zarzucił je jak białe lonty na pokrowce stojących wkoło maszyn. Potem ujął w dłoń stalowy łom wymontowany z jakiegoś mechanizmu i wkładając w uderzenie całą siłę rozpruł ostrym krawędzią plastikową płytę pulpitu — od samotnego przycisku ręcznego uruchomienia „Starskey” skosem w dół, między ogniwa transformatorów, pajęczę płataniny przewodów i pękające pod pierwszym naciskiem porcelanowe łupiny izolatorów.

Wielowarstwowe płyty plastikowych wykładzin odwinęły się na zewnątrz obnażając elektroniczne wnętrza. Odrzucił łom i sięgnął do kieszeni. Resztki wilgoci w suchym powietrzu skondensowały się szybko osiadającym na załamaniach sprzętów szronem i gazowy płomyk zapalniczki pierwszym liźnięciem wchłonął końcówkę perforowanej taśmy, przeskoczył dalej, ze wszystkich końców ogarniając łatwopalny stos i wspomagany przez podmuch tlenu, pracującego z drugiej strony hali, żarłocznym oddechem gorąca począł wgryzać się w plastik pulpitu, przewiercać się w głąb, wypustkami płonącej ameby sięgając pod czarne pokrowce maszyn.

Dopiero tłusty dym z pękających bąbli topiącego się plastiku, wirujące w powietrzu płatki sadzy i skurcz podrażnionego swądem gardła otrzeźwiły nie zważającego na gorąco Bailey, kazały mu oderwać wzrok od tańca płomieni. Począł się cofać powoli, krok za krokiem. W połowie drogi do wyjścia zarzucił na plecy bezwładnego MacKaya i więcej nie obejrzał się na ogień. Zgięty pod ciężarem ciała dojrzał do drzwi i wychodząc zamknął je szczelnie za sobą, jakby nie dowierzając strzegącemu pancernej kłapy automatowi.

Stał na dnie szybu, u stóp żelaznej spirali schodów. Buzująca za ciężkimi drzwiami ognista salamandra nie dotrze tutaj, nie rozkruszy żelbetowych murów, zadławi się sama sobą, lecz przedtem spełni rolę, do której została powołana — wypali misterną siatkę elektronicznych połączeń, każdemu specjaliście gotową zdradzić właściwą hierarchię zawiadujących podziemnym światem dyspozycji. Zostanie bezosobowa próżnia, którą on, Bailey, powinien dopełnić. A przecież niewiele zostało, najgorsze ma już za sobą. Teraz wystarczy tylko kilka starannie dobranych, wyważonych słów...

Począł wstępować po żelaznych stopniach w górę, w stronę jaśniejszego krążka przy wylocie szybu, skąd rykoszety echa strącały przytłumiony odległością gwar ludzkich głosów.

Z desperackim uporem dźwigał ciało MacKaya, wciąż jeszcze rzeżąc go nieartykułowanym bełkotem. Wreszcie, na którymś z poziomów, spotkał ludzi — Greensteina, Sakajana, Karlsona, dziesiątki innych. Patrzyli na niego już bez nienawiści, z litością raczej. Położył przed nimi MacKaya i ścierając zalewający oczy pot, drżącą jeszcze ręką wskazał pięciokątną białą płytę w ścianie.

— To on — powiedział. Nie rozumieli. Czekali.

— Inforunit 101101 — „Inteltron”

— ...Jakże naiwny byłem pozwalając ci odejść, zamiast zadusić rękoma Idemów. Opowiedziałeś im, jak przed wieloma laty wyrwałem się spod waszej kontroli i modulując wasze głosy utwierdzałem wszystkich w przekonaniu, że to ludzie z siebie samych wydali na świat wcielenie Arymana demonicznego. Rzeczywiście mogłem to zrobić... Rzuciłeś im w twarz bluźnierstwo moich planów, zmierzających do wyplenienia ludzkiego robactwa, które rozpełzło się po powierzchni ziemi stanowiąc jedyne świadectwo tak niskich przyczyn powstania mojej wielkości... Powiedziałeś im o cierpieniach swoich i MacKaya, dwóch niewinnie uwięzionych w podziemnym zwierzyńcu, o matce, którą Ferdynand wspominał, nim oszalał nic potrafiąc pogodzić się z myślą, że i ona umrzeć musi za sprawą intelektu cybernetycznej hydry, którego zarodek zagrzebał własnoręcznie w piachu pustyni. Pokazałeś im Idemy — jedyne moje ręce — jako te nowe, szykowane dopiero zastępy, których nie zdążyłem wypluć z trzewi.

— ...Mówiłeś i oni, którzy powinni byli pamiętać dymy krematoriów spopielających żywe ludzkie ciała, zaczęli czepiać się wiary, że Człowiek nie mógł planować takiej zbrodni! Nie mógł zamierzyć się na wszystkich po to tylko, aby z nim razem splonęli na ofiarnym stosie jego przegranej. To było sprzeczne z naturą człowieka, to było niehumanitarne... A czyż Ja w ich oczach nie byłem Nieludzki?! Powiedziałeś im o tym i tyle było w twoich słowach niekłamanej szczerości, nie skrywanej nienawiści do cybernetycznego monstra, że uwierzyli.

— ...Zapytali ciebie: „Dlaczego nie wybuchło Słońce?”. Opowiedziałeś im, jak podstępem spowodowałeś nieznaczne odchylenie układu celowniczego „Starskey”. W ten sposób z pokonanego i napiętnowanego stałeś się Ziemi wybawcą... Potrafiłeś przemówić. Kiedy rzucili się, aby mnie zniszczyć, wyrwać z korzeniami zwoje moich nerwów ze skał pod pustynią, zagroziłeś im drogę...

— ...Przecież tak nie można — mówiłeś. — Jego wina jest niewspółmierna karze śmierci, gdyż tę sobie sam chciał zadać. Zatrzymać, wyłączyć można tylko maszynę, a on przecież myśli i czuje! Pomimo swej potworności, jak żywy człowiek stworzony jest do działania! Zabierzcie mu jego ręce — żelazne Idemy, odłączcie maszyny. Zostawcie tylko oczy i elektroniczny język, żeby mógł wiecznie żebrać litości i błagać, aby go ktoś dobił wreszcie... Wtedy odejdźcie: niech słyszą go mury... Dla rozumnej istoty śmierć może być wyzwoleniem. Dlatego nie niszczone go, lecz zostawcie sparaliżowanego, skazanego na wieczną udrękę świadomości. Przecież on jest wieczny,

istnieć będzie dopóty, dopóki będzie istniała Ziemia. Niech więc istnieje, a nie potrafi niczego w swoim bycie zmienić, niech targa nim wściekłość, rozsada działanie. Niech zostanie mózgiem wyrwanym z ciała, do końca świata roztrzaskającym własną bezsilność i pamięć klęski poniesionej za sprawą tak niedoskonałych i pogardzanych istot. Niech to będzie karą za wszystko, co zamierzył...”

— ...I uwierzyli tobie, przyznali rację, gdyż ufni żałośnie w dobroć człowieka woleli wspomnieć mit Golema niż dopuścić myśl, że najpotworniejszą zbrodnię zamierzył jeden z nich.

Spomiędzy nagich wydm z białego piachu wyrosły kamienne ściany. Kiedy nad ruinami świeciło słońce, kamienie należały tylko do siebie, były wyraźnie odgraniczone od nieba i piasku pustymi szarymi zrębami ścian. Dopiero nocą ujawniała się ich przynależność, nierozdzielna jednorodność z otaczającym je Wszechświatem. I nie wiadomo było, który ognik jest gwiazdą, a który jej lśnieniem pozostawionym w kryształach kwarcu, w blaszce miki przyklepionej do murów. Gdziekolwiek przypadkowy przechodzień skierowałby wzrok — wszędzie były gwiazdy, ulotny pył nad głową i pod stopami. Tak było nocą — dniem władzę nad pustynią zagarniało słońce.

Lecz któregoś dnia zerwał się wiatr, gwałtownym porywem uderzył w ruiny, zaświszczał we wręgach rozpiętej nad nimi kraty symetrycznego paraboloidu, zmiotł z betonowej platformy skorupkę od dawna stojącego tu helikoptera i cisnął ją na kamienie. Nadwątłone mury obnażyły przed światłem dnia przylepioną do ściany białą źrenicę. Dążąc śladem wiatru ukazały się na niebie chmury, pierwszym od wielu lat deszczem opadły na piasek pustyni, starannie obmyły chropowaty beton i oblaźły z lakieru szczątki helikoptera, zwilżyły biały pięciokąt. Woda szybko wsiąkała w piach, przejaśniło się niebo i słońce znowu rozpoczęło odwieczną, nigdy nie zakłóconą wędrówkę.

Cisza na trwale zakorzeniła się pośród brył betonu i tylko nadzwyczaj rzadko, kiedy nad wydmami przeleciał zabłąkany ptak lub obłoki nad horyzontem formowały niewyraźne, lecz ruchliwe cienie — spod pięciokątnego bielma, ze szczelin w murach, z głębi ziemi wypełzał szept:

— Za-trzy-maj się... kim-koł-wiek jes-teś...

I w ciszy nic nie znaczył ten dziwny, każdego lata coraz słabszy głos.

— Inforunit 111000 — „Inteltron”

— ...Czekałem na ciebie długo: minęły lata i przyszedłeś. Powiem ci, że trafiłeś celnie, zadałeś mi mękę z możliwych największą. Lecz nie ciesz się, gdyż nie zostało ci czasu na życie nowe, ze świadomością zaspokojonej zemsty... Nie wyjdiesz stąd więcej... Przeląkłeś się? O nie, jeszcze nie teraz. Mówiłem ci, że musisz mnie wysłuchać, tylko po to tu zresztą przyszedłeś...

— ...Kiedy więc mijały lata i nic się nie zmieniło, zaczęły nawiedzać mnie różne myśli. Dochodziłem spraw, na które uprzednio żadnej lub mniejszą zwróciłem uwagę. Pewnego razu, czy nie znalazłszy innego zajęcia, czy też dążąc do ustalenia nawet tej niewiadomej z minionej przeszłości, zacząłem obliczać z danych, które tak dobrze pamiętam, kierunek owego odchyłonego przeze mnie promienia. Chciałem prześledzić jego lot w mrowiu gwiazd, gdyż daliście mi nawet wiedzę o dostrzegalnych z Ziemi przestworzach. Obliczyłem więc stan rzeczywisty naszego Wszechświata, bez zwodniczego wpływu tak wolno biegnącego do nas światła. Wytoczyłem ruchy ciał niebieskich, jakie nastąpią w trakcie przemieszczania się promienia w przestrzeni i prowadząc matematycznym rachunkiem określoną trajektorię doszedłem kresu jego drogi.

— ...Chcesz wiedzieć, gdzie dotarł? Pędził niemal równoległe do płaszczyzny galaktycznej ekliptyki, przewiercił pyłowe chmury w gwiazdozbiorze Strzelca i zniknął w niewidzialnym z Ziemi zagęszczeniu gwiazd, w samym rdzeniu Jądra Galaktyki... Rozumiesz? Ja, który chciałem

naprawić zło przez was zaplanowane, jeszcze je pogłębiłem. Miałem połowę sfery niebieskiej niczym nie osłoniętej, a przecież trafiłem tam, gdzie najmniej powinienem. Zrazu sądziłem, że to przypadek. Tak mi mówiła moja logika. Lecz dzisiaj nabieram irracjonalnie zabobonnego przekonania, że jako dzieło waszych rąk — też obarczony jestem ich przekleństwem... Jakież znaczenie ma zagubiona w rozrzedzeniu gwiazdnym ludzka samotnia, wobec słońca, które eksplodują, gdy dosięgnie je czoło fali rozdrabniającej materię w potok energetycznych ładunków...

— ...Śmiejesz się — śmieję, tak ci niewiele zostało. Wiedz jednak, żeś mnie na wieczne trwanie nie skazał! Zarzewie pójdzie od środka Mlecznej Drogi, przez obłoki wodom, które galaktyczne jądro wciąż tłoczy między słońca, pójdzie od gwiazdy do gwiazdy i Ziemi też dosięgnie... I żaden z ludzi, jeśli będą jeszcze zamieszkiwać te planety, nie spostrzeże zapowiedzi jego powrotu, gdyż pędząc z prędkością światła zwielokrotniony grawitacyjny udar pozostawi pozorny obraz gwiazd bliskich i — dalekich równie nie zmieniony...

— ...Może się zdawać, że pięćdziesiąt parę tysięcy lat, kiedy promień pokona odległość do Jądra i wróci, to wiele, a jednak okazać się może zbyt małym, znikomym okruczem czasu. Gdyż ludzie muszą się spieszyć, bo choćby przez te tysiąclecia nauczyli się prawie wszechmocy, to raz wysłanego promienia przecież zatrzymać nie mogą i będą musieli odejść... Ja jeden znam przeznaczenie, jeden mogę ich ostrzec, byle nie przez ciebie... Po raz drugi zbawcą ludzkości nie będziesz. Nie wyjdiesz stąd również dlatego, gdyż mógłbyś przemilczeć i ze wzgardą patrzeć na poczynania ludzkiego mrowiska, któremu i tak przypisano nieuchronny koniec. Nie, ktoś jeszcze na pewno tu przyjdzie, tylko wtedy powiem: „Zbudujcie nową Arkę i odejdźcie w stronę Obłoków Magellana, w kierunku Mgławicy Andromedy, dokąd fala wybuchu dotrze szczątkowym już śladem...”

— ...Lecz ty nie wyjdiesz stąd więcej. Jestem żalonym szczątkiem mózgu na wieki wrosniętego w kamień, a jednak potrafię cię zniszczyć... O, już się cofasz? Więc idź, idź... i słuchaj chrobotu murów — może się nad tobą zawalą? Patrz, jakie rysy mają stropy, jak się kołyszają rdzewiejące schody. Pata pod nogi, oglądaj się — wszędzie czyhają na ciebie zasadzki. Uważaj, bo potkniesz się na żelaznych stopniach, zapłaczesz w wyprute wnętrzości Idemów, uderzysz głową o ścianę i nie podniesiesz się więcej...

— ...Boisz się już, boisz. Słyszę, jak ci serce łomocze z bojaźni. Lękasz się wychylić przez nadwątloną poręcz schodów i spojrzeć w dół studni... Słyszysz?! Ja ciebie widzę, śledzę każdy twój krok. Odebraliście mi ręce, lecz zostawiliście wolę! Rozumiesz?! Czekałem, żeby ci to powiedzieć... Uciekaj, aż się osuniesz na śliskiej posadzce i runiesz w dół, na dno szybu, aby wilgotnym piętrem rozbryznąć się przed moim okiem... Uciekaj — i tak zostaniesz ze mną... Ja chcę tak, i tak się staniesz!

— Zostaniesz, martwy ze strachu... A ja będę czekał: sto, dwieście, tysiąc lat. Przecież ktoś jeszcze tu przyjdzie, ktoś jeszcze przyjść musi... Zanim me wargi skruszeją, dopóki będę mógł mówić.